

Podczas posiłku usłyszeli z zewnątrz szczekanie psa. Burek nagle zaskowyczał. Ktoś otworzył drzwi sieni i po kilku sekundach znalazł się w kuchni. W świetle lampy zobaczyli Stepana Klonowcia – ciemnowłosego, wysokiego mężczyznę w marynarce narzuconej na jakąś bluzę mundurową, w bryczesach i oficerkach. U prawego boku spod marynarki wystawała mu duża drewniana kabura samopowtarzalnego pistoletu mauser C96. Po chwili w drzwiach pokazało się kilka innych postaci. Wszyscy uzbrojeni w karabiny. Stanisław wstał zza stołu. Górował nad większością przybyszów, było ich jednak zbyt wielu, by postura w czymkolwiek mogła mu pomóc.

– W gości przychodzisz, Stepan, o tak późnej porze i to widzę nie sam!

– Gośćmi to wy jesteście – odpowiedział brunet, a jego oczy skrzyły. – Nasza ziemia ma już was dosyć i dzisiaj zaczynamy porządkować na Ukrainie. A wy, Lachy, nie chcieliście po dobroci sobie pójść, to spotka was zasłużona i przykładowa kara. Brać ich! – powiedział do swoich ludzi, którzy w trakcie jego przemowy wsunęli się w głąb kuchni. – Sprawdzić dom, czy kto się tam nie ukrywa po kątach. – Podszedł do Staszka trzymanego pod rękę przez dwóch Ukraińców. – Jego związać, mamy do pogadania. – Dźgnął go w pierś trzymaną w rękę szpicrutą, którą następnie przekazał Ukraińcowi stojącemu po prawej stronie więźnia.

Jeden ze strilców szarpnął brutalnie gospodynię. Wtedy Witold Morowski, człowiek lat sześćdziesięciu, jakby strząsnął z siebie dwóch mołojców i wymierzył siarczasty policzek temu, który pociągnął jego żonę. Uderzonemu mężczyźnie czapka spadła z głowy i Stanisław w słabym świetle, jakie dawała lampa stojąca na stole, zobaczył, że

twarz tamtego znaczyła duża blizna biegnąca przez cały lewy policzek. W tej chwili do kuchni wbiegła rozbudzona i przestraszona zamieszaniem Marysia, wołając:

– Mamusiu!

Gruby banderowiec w czarnym mundurze policji pomocniczej pochylił się, złapał przebiegające dziecko za nogę i z rozmachem uderzył jego głową o futrynę drzwi, po czym cisnął drgające ciało na podłogę. Wanda wydała z siebie nieludzki skowyt i rzuciła się do córeczki. Uderzona kolbą w biodro padła przy konającej Marysi, tuląc ją do siebie i wyjąc przeraźliwie. Morderca jej dziecka kopnął ją w brzuch, mówiąc:

– Cicho, suko!

Gospodarz chciał doskoczyć i do niego, ale Ukraińcy, którzy poprzednio nie zdołali go utrzymać, tym razem poradzili sobie doskonale.

– Mordercy, Bóg was pokarze, psie syny – wykrzyczał.

Anna Morowska lamentowała, szarpiąc swoje siwiejące włosy. Wyraźnie słyhać było łkającą Wandę. Dociskała do piersi skrwawioną blond główkę swojej córeczki. Stepan podszedł do Heleny, której właśnie jeden z mołojców wyjmował z wykręconej ręki kuchenny nóż, i chwycił ją za brodę. Czarne włosy obsypały pociągłą, jasną twarz dziewczyny, zasłaniając czerwone, zacięte usta. Spojrzał w jej błękitne oczy.

– Spóźniłem się na wesele, ale na stypę zdążyłem w sam raz – powiedział dość łagodnie. – Idziemy! – rozkazał.

W tym czasie dwaj strilcy posadzili Staszka na taborecie, łydki przywiązali mu do nóg stołka, a ręce skrępowali z tyłu. Następnie przewrócili go na plecy, ze stóp ściągnęli skarpety, podśmiewając się przy tej czynności. Powietrze przeciął

świsł szpicruty. Chłostany mężczyzna jęknął. Bijący go chłopak powiedział:

– Gdzie masz broń, Laszku? No gadaj. – Obrócił się do swoich towarzyszy wyprowadzających właśnie Morowskich z domu.

– A może przyniesiecie nam obcęgi z drewnitni? – Zamachnął się i uderzył kilka razy bosc stopy.

Matka Stanisława płakała, zasłaniając dłońmi oczy.

– Zostawcie go, draby. W komorze pod kufrem jest skrytka – powiedziała.

Mołojec odwrócił się i znów sieknął młodego Morowskiego.

– Puścić mnie natychmiast, sam pójde – huknął ojciec Stanisława. – Ciebie poznaję, Mykoła, i ty tu, Pawło, ta czapka cię nie zasłoni. Jak byliście mali, to wasi ojcowie nie raz do mnie po pomoc przychodzili, a teraz tak się odwzięczacie? Kainowe pomioty.

Nazwany Pawłem podszedł i uderzył mężczyznę kolbą karabinu w plecy. Witold Morowski stęknął z bólu, upadając na kolana. Podnieśli go za ręce i wywlekli z domu. Wanda, płacząc i przytulając swoje martwe dziecko, ledwo szła. Stanisław użył wszystkich swoich sił, by odbić się od ziemi. Głową uderzył odwróconego plecami Ukraińca w dół podkolanowy tak mocno, że zaatakowany stracił równowagę i upadł. Rozwścieczony podniósł się prawie natychmiast i wraz z drugim napastnikiem zaczął kopać Staszka po całym ciele. Jedno z uderzeń, wymierzone w skroń, oszołomiło kopanego na jakiś czas. Dostało się także taboretowi, który w kilku miejscach popękał i częściowo się rozleciał.

Rodzinę Morowskich wyprowadzono z domu, tylko Stanisław leżał na podłodze. Pozostało tu

czterech banderowców. Trzech z nich zabrało lampę i zaczęło przeszukiwać wskazane przez gospodynię pomieszczenie. Czwarty wziął nóż ze stołu, ukroił sobie pajdę chleba, następnie posmarował ją grubo masłem. Kątem oka spojrzął na otępiałego kopnięciami szatyna. Sięgnął po stojącą na parapecie karbidówkę. Odkręcił pokrętko i zapalką podpalił wydobywający się z niej gaz.

– Że też to tak zawsze śmierdzi – mruknął pod nosem, otwierając okno.

Wziął lampkę i ruszył do pokoju leżącego najbliżej kuchni. Ze spiżarni dobiegły Stanisława odgłosy zadowolenia. Skrytka została odnaleziona.

– Ładna sztuka, świeżo wyczyszczony.

– Połóż na stole, jak wróci „Ostry”, to zdecyduje. O, zobaczcie, ile żarcia sobie przygotowali. Ha, nie pojedzą!

– Jest i bimber, mój ojciec zawsze powtarzał, że Morowski robi najlepszy samogon w okolicy.

– To popróbujmy... Uch, mocny! – Chuchnęła i otarła usta dłonią grubego policjanta.

Wrócił czwarty Ukrainiec z karbidówką w rękę oraz lalką Marysi zatknętą za pasek.

– Takiej ładnej lalki to moja siostra nigdy nie miała.

– To teraz ma. Masz, gołnij sobie. – Morderca Marysi wręczył mu kubek napełniony bimbrem.

Jeden z banderowców przyniósł do kuchni znalezione go visa z zapasowym magazynkiem. Kładąc broń na stole, zaczął mówić do więźnia:

– No, to może wreszcie pogadamy, zaraz się tobą zajmę. Czy jeszcze ktoś ma w kolonii broń? No gadaj, jak powiesz prawdę, to może nie pohulamy sobie z twoją rodziną, tylko raz dwa załatwimy sprawę. – Odgryzł kawał kielbasy

z trzymanego w ręku pęta. Nachylił się nad Stanisławem i zauważył, że ten prawie jest uwolniony. Lewa noga taboretu wysunęła się ze splatających ją więzów, natomiast prawa, odłamana, przylegała do kończyny Staszka, który właśnie przekładał pod sobą związane ręce i rozsypywał poluzowany na nich sznur. Ukraińiec chwycił go pod ramię i szarpnął przekonany o tym, że ma nad oszołomionym człowiekiem przewagę. Mając pełne usta kielbasy, nie mógł krzyżeć. Odwrócił się częściowo do swoich trzech kolegów stojących w wejściu do spiżarni. Policjant stał w głębi pomieszczenia, jego twarz skierowana była na kuchnię, ale panował tu mrok. W jednej dłoni trzymał kiszzonego ogórka, w drugiej flaszkę samogonu, którą przytknął zachłannie do ust, przechylając głowę do tyłu. Pozostali dwaj, odwróćeni plecami, pili bimber z kubka, zagryzając znalezionymi smakołykami. Śmiali się w głos. Staszek zauważył przy pasie szarpiącego się z nim mołojca uzbrojony granat obronny. Natychmiast wyrwał zawleczkę, a zaskoczony rezuna pchnął z całej siły na jego towarzyszy. Policjant, na którego wpadł popchnięty przez Staszka Ukraińiec, zakrztusił się i zaczął kasłać. Wszyscy stojący w komorze stracili równowagę.

Stanisław zabrał ze stołu visa z magazynkiem, odwrócił się i szczupakiem wyskoczył przez uchylone okno. Wywinął fikołka, przyłgnął do ziemi, przytulając się jednocześnie bokiem do ściany. Eksplozja wybiła szyby, wyrzucając resztki okna wraz z odłamkami do ogrodu. Usłyszał jęki poranionych napastników. Poderwał się i pobiegł do sadu. Przeładował pistolet, kątem oka widział płonące zabudowania sąsiadów. W środku kolonii zauważył dużą grupę Ukraińców otaczających gospodarstwo Felińskich. Właśnie stamtąd dobiegały gwarny lament,

krzyki, przekleństwa polskie i ukraińskie. Od czasu do czasu gdzieś w okolicy padał strzał. Spośród tych wszystkich odgłosów wychwycił uchem nawoływania do pogoni. Wiedział, że teraz nie ma chwili do stracenia i musi jak najszybciej dotrzeć do lasu. Jednak najkrótsza droga do niego to sto pięćdziesiąt metrów otwartego terenu, oświetlonego nie tylko blaskiem księżyca, ale także lunami płonących budynków. Wskoczył do rowu odwadniającego. Pomimo bolących stóp pędził, jak tylko mógł najszybciej. Dopadł do zabagnionych brzegów rzeczki, skierował się do nakaty – drogi z olszynowych pniaków, która biegła przez moczary i prowadziła do brodu. Przez chwilę szukał miejsca. Chyba tu jest głębiej – pomyślał i wsunął się w wodniste błoto. Leżąc na plecach wzdłuż „pomostu”, trzymał się kurczowo pniaków jedną ręką.

Najpierw usłyszał ścigających, następnie poczuł drzenie kładki, gdy przebiegali obok. Dotarli do posterunku przed brodem. Krzyczeli na siebie, ale nie mógł zrozumieć słów. W końcu zawrócili w kierunku lasu. Jednocześnie grupa pilnująca przejścia przesunęła się na początek nakaty. Minęli zanurzonego w błocie Staszka, który natychmiast przesunął się w kierunku brodu i pokonał rzekę. Po drugiej stronie znalazł się w miejscu niewidocznym od strony wioski. Ruszył przed siebie w las i na bagna, aby dotrzeć do wysepki, gdzie w dzieciństwie miał swoją tajną bazę. Licząc się od pewnego czasu z narastającym zagrożeniem ze strony ukraińskich nacjonalistów, przygotował na niej prowizoryczne schronienie dla rodziny.

Dlatego się tu znalazł. Promienie słoneczne przedzierały się teraz przez rzęsy pod zamknięte powieki. Na tyle było to irytujące, że dalsza walka o sen nie miała sensu. Spojrzał

na niebo i stwierdził, że jest koło dziewiątej. Zastanawiał się, czy to był koszmar, ale uświadomił sobie, że przeżywał wczorajszy wieczór jeszcze raz na jawie. Potworne myśli kłębiły się w głowie.

Więc tu nie dotarli, nie uciekli. Ty tchórze, zamiast ich ratować – zwałeś, głupi, głupi durniu, kretynie, tylko palnąc sobie w ten głupi łeb.

Rozejrzał się, ale nie zobaczył pistoletu, przekręcił się na brzuch, walnął głową o kępę trawy, bił pięściami i rozdrapywał ziemię. Trwało chwilę, zanim ochłonął. Skulił się, po czym znów zasnął.

Obudził się po około godzinie twardego snu.

– Boże, czemu? – powiedział na głos.

Usiadł i spojrzał na swoje stopy. Nie wyglądały najlepiej. Teraz buty Aleksa nie byłyby na mnie za duże – pomyślał. Reszta ciała wydawała się w porządku, bolało go zebro po lewej, a głowa po prawej stronie. Uklęknął, obmacując się po klatce piersiowej. Nie było najgorzej. Jednak gdy spróbował stanąć na nogach, ból, jaki poczuł w stopach, usadził go na ziemi. Teraz wzrok natrafił na visa leżącego w trawie. Był przybrudzony. Wytarł go kocem, sprawdził, czy nabój jest w zamku, i odłożył na bok. Sięgnął po przyniesioną przedwczoraj torbę wplecioną z лыka lipowego. Były w niej suchary oraz kawałek marynowanej słoniny – specjalność mamy. Musiał spróbować, wcale nie dlatego, że odczuwał głód. Kozikiem rozsmarował słoninę na sucharze, jadł z namaszczeniem. Wyjął z torby manierkę, napił się, a następnie przepłukał stopy. Przypominały raczej nóżki zatuczonego świniaka. Jak ja na nich tu doszedłem?

Postanowił wrócić do wsi, może komuś da się jeszcze pomóc, da się kogoś uratować. A może...? Może ona czeka jego ratunku? Visa wsadził do torby, kozikiem odciął dwa pasy materiału od koca i upchnął do kieszeni. Nożyk również schował do kieszeni spodni. Wstał, podszedł do brzegu. Od razu rozpoznał, jak bardzo zmyliła go mgła. Mógł utonąć, a jednak znowu przeżył.

– Widocznie tak ma być.

Napełnił manierkę wodą z rzeki i ruszył w drogę powrotną. Tym razem skakał z kępy na kępę i brodził w błocie najwyżej po kolana. Kiedy wyszedł z bagna, przysiadł i zawiązał dokładnie każdą stopę kawałem koca. Miał nadzieję, że dzięki tym improwizowanym ochraniaczom będzie mógł poruszać się po lesie, odczuwając mniejszy ból. Znalazł kij, który parę dni temu zostawił tu przy sośnie. Podpierając się nim, poszedł dalej.

Zbliżając się do kolonii, coraz bardziej czuł duszący odór spalenizny, przyspieszył kroku. Kiedy stanął na brzegu lasu, zobaczył puszczoną z dymem osadę Brzozowe Osty. Jego dom zaślaniał sad, ale wydawało się, że stał nienaruszony. Poszedł na przełaj. W głównym wejściu nie było drzwi, wszedł do środka. Eksplozja granatu wyrządziła znaczne szkody. Ujrzał ślady krwi i dziwną, szarą, zaschniętą maź. Zastanawiał się przez chwilę, ilu z banderowców zginęło. Na podłodze poniewierały się nadgryzione pętka kielbasy oraz pół pajdy chleba posmarowanego masłem.

– A żeby wam tak w gardle stanęło.

Dom nie wyglądał na splądrowany, zauważył ślady ognia pomiędzy kuchnią a przechodnim pokojem rodziców, ale najwyraźniej sam wygasł. Sięgnął po puszkę stojącą na stoliku przy łóżku rodziców, wyjął z niej pieniądze. Zabrał leżący

na szafie album z fotografiami. Poszedł do pokoju siostry. Zadrżało mu serce na widok łóżeczka Maryśki. Otworzył kufer stojący pod oknem, pogrzebał w nim chwilę, wreszcie wyciągnął obuwie Aleksandra. Usiadł na kufrze, owinał stopy onucami, a następnie wcisnął je do – jak mu się kiedyś wydawało – olbrzymich butów szwagra. Potem zajrzał do swojego pokoju. Z szafy wyjął skrócony płaszcz korpusu kadetów oraz plecak, który spakował tydzień temu, na wypadek gdyby trzeba było szybko uciekać. Na sekretarzyku przykrytym piękną serwetą wyszytą przez Helenkę stało ich ślubne zdjęcie. Wyjął je z ramki i schował do kieszeni płaszcza. Wychodząc z domu, zabrał jeszcze czapkę cyklistówkę i swoje trzewiki. Przydadzą się, jak opuchlizna zejdzie.

Na zewnątrz zawiął wiatr, przynosząc nieprzyjemny swąd i dziwne ciepło od pogorzelsk. Ruszył w kierunku kilkunastu osób zgromadzonych przy zgliszczach jednej z zagród. Minął całkowicie wypalone zabudowania Lutnickich, a wchodząc na teren następnej zagrody, zauważył stojącego przy studni Alfreda Szachniewicza. Wyglądał, jakby wrósł w ziemię. Stanisław podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu. Ten drgnął i odwrócił się gwałtownie. Na jego ogorzalej twarzy zarysowało się zaskoczenie, a następnie odmalowała się ulga.

– Żyjesz, Stanisław, a myśleliśmy, że tam, w stodole Felińskiego, spalili cię razem z twoimi. – Uścisnęli się serdecznie. – Pomóż mi, bo tu cała studnia założona jest ciałami moich.

Na wierzchu leżał stary Szachniewicz, ojciec Alfreda. Z paskudnie rozbitej głowy wypłynęła jakaś szara maź podobna do tej z podłogi w progu spiżarni. To tak wygląda mózg. Jeden z nich padł u nas w kuchni trupem – pomyślał

Stanisław. Pod dziadkiem leżała trzynastoletnia Zosia. Cała pokłuta nożami. Następny był jej młodszy brat Antek – zabity najwyraźniej ciosem siekiery. Pod nim ojciec rodzeństwa, Alojzy Szachniewicz. Postrzelony i skluty widłami. Ostatnią wyciągnęli żonę Alojzego. Cała ociekała wodą zmieszaną z krwią jej rodziny, w sukience było pełno dziur klutych i ciętych. Zanim oprawcy wrzucili ją do studni, umęczeni biedną kobietę. Alfred poczerwieniał, jedynie trzy zmarszczki przecinające jego czoło odcinały się jasnorożową barwą. Staszek zamarł, widząc w oczach sąsiada szaleństwo.

Nagle obaj znieruchomieli. Do ich uszu doleciało ciche westchnienie. To dziewczynka, którą uznali za martwą, odetchnęła. Leżała z otwartymi oczyma. Staszek przysięgłby, że jak ją wyjmował, to miała zamknięte oczy. Rzucili się do niej, Alfred złapał ją za rękę.

– Zosiu, kochanie, dziecko drogie – mówił przez łzy.

– Stryjku, pić dajcie – powiedziała, cedząc słowa.

Stanisław spojrział znacząco na czterdziestoletniego sąsiada.

– Tylko zwilżyć usta można, jest ranna w brzuch – szepnął, podając manierkę.

Szachniewicz wyjął chustkę z kieszeni, zmoczył ją wodą i przyłożył do ust bratanicy.

– Musimy ją stąd jakoś zabrać – mówił roztrzęsionym głosem.

– Pójdę do Felińskich, tam stoi parę osób, to przyprowadzę kogoś do pomocy – powiedział Stanisław.

Im bliżej podchodził do dymiących zgłiszczy zabudowań jednego z największych gospodarstw w kolonii, tym głośniej słyszał bicie swego serca. Patrzył na sylwetki stojących tam ludzi, ale nie rozpoznał nikogo ze swych bliskich. Tych

kilka osób, które przeżyły pogrom, wpatrywało się w resztki stodoły, w zwęglone ciała zamordowanych. Zastanowił się, czy da radę tam wejść, aby jakoś zidentyfikować krewnych. Od pogorzelniska bił silny żar.

– Stój, Stanisław. My też już próbowaliśmy. Chwała Bogu, że żyjesz.

Nie było słyhać płaczu ani jęków, ludzie stali z zaciśniętymi zębami i pięściami. O tym, jak przeżył, opowiadał stojący w środku Szymon Krakower, Żyd o typowych semickich rysach, którego wraz z rodziną ukrywał od roku pod podłogą głównej izby Marian Bronowicki.

– Z Bronowickich tylko najmłodszy syn się uratował. Ojciec w ostatniej chwili kazał mu wskoczyć do schronu. – Szymon pogłaskał chłopca po głowie. – Jak tylko poczułem, że podpalili dom, to kazałem się czołgać tunelem, cośmy go jesienią z Marianem wykopali do sadu. Tam się przyczailiśmy, nikt nas nie szukał, widać wcześniej tam byli – skończył zdenerwowany.

Pomiędzy tą piętnastką ocalonych ludzi stała furmanka zaprzęgnięta w konia, a na niej siedział, patrząc z przerażeniem, Mykoła Rubny z Ościuchowa.

– Bóg nas, Ukraińców, za ten grzech śmiertelny pokara, oj pokara. Wybaczcie, ludzie – mówił, płacząc. – Słuchajcie, nie możecie tu teraz zostać. Nie jesteście bezpieczni. Jadę od Perekopek, tam w lesie spotkałem mołojców, zatrzymali mnie i chwalili się, że zaczęli Ukrainę z Lachów oczyszczać. Mówili, żebym się w kolonii nie zatrzymywał na długo, bo oni czekają, aż wrócicie, i was wykończą. Ludzie, idźcie do Konstantynówki, tam jest teraz wojsko, będziecie bezpieczni. A jutro z Niemcami swoich pozbieracie.

Stanisław powiedział o małej Zosi i Mykoła zaoferował, że ją zawiezie. Staszek zwrócił się jeszcze do sąsiadów:

– Kto chce, to może z mojego domu wziąć, co uważa, więc jak jest jakaś potrzeba, to ja się zgadzam. Trzeba zabrać całą żywność, podjedziemy furmanką.

Wszyscy ruszyli w stronę zagrody Szachniewiczów, wspólnie ułożyli dziewczynę na wozie. Następnie skierowali się pod dom Morowskich. Wynieśli z komory jedzenie, które ułożyli na furmance oraz niedużym wózku wyciągniętym ze stodoły. Ocaleni zabrali też część ubrań. Wreszcie powędrowali do Konstancyńki.

*

Zanim zapadł zmierzch, dotarli na miejsce. Potwierdzili swoim przybyciem obawy mieszkańców zaniepokojonych nocnymi lunami nad lasem. Stanisław wraz z rodziną Szymona zatrzymał się w Ostach, osadzie poprzedzającej Konstancyńkę. Zaprowadził Żydów do „Barabasa”, czyli Tadeusza Jankowskiego, członka podziemia. To on ponad rok temu polecił Staszce w Brzozowych Ostach konspiracyjnej komórki. „Barabasz” natychmiast zdecydował, gdzie należy ukryć rodzinę Krakowerów.

– Z twojej grupy ktoś przeżył? – zapytał.

– Chyba tylko Kryśka – odpowiedział Staszek.

Przez chwilę milczeli.

– Co to za Niemcy są w Konstancyńce? – zapytał „Barabasz”.

– Kompania piechoty, a raczej to, co z niej zostało. Są w trakcie odbudowy stanów. Ich dowódca Oberleutnant

Otto Kluger chce poznać szczegóły napadu. Kwateruje w domu nauczyciela. Idź tam, Staszek, i zdam mu relację.

Stanisław, wchodząc do domu Królów, minął Alfreda.

– Jadę do Sarn, dostałem od Oberleutnanta przepustkę. Muszę Zośkę jak najszybciej zawieźć do szpitala.

– To ruszaj. – Ucisnął Alfreda.

Wszedł do kuchni. Przy stole siedziały dzieci gospodarzy oraz najstarsza córka Sawickich, którzy także byli mieszkańcami Brzozowych Ostów.

– Niech będzie pochwalony.

– Na wieki wieków – odpowiedziała gospodyni wraz z dziewczętami siedzącymi na ławie. – Niech pan spocznie. Proszę, herbata, prawdziwa. Niemcy dali – mówiąc to, gospodyni podsunęła szklanekę z ciemnym płynem.

Przez drzwi pokoju słychać było opowieść Krystyny Lutnickiej.

– I tak ukryłam się w oborze, i z góry obserwowałam masakrę. Później ukraińscy chłopci wpadli rabować zwierzęta, a ja w czas wyczołgałam się stamtąd. Na czworaka podpełzłam do rowu odwadniającego, tego, co biegnie obok zagrody Morowskich. Drogą pognały dwa wozy prosto pod ich dom. Tam widziałam, jak Ukraińcy zdjęli drzwi wejściowe z zawiasów i wynosili na nich rannego. Od lasu wrócili rozwrzeszczani banderowcy, minęłam ich i już do rana przesiadziałam w gęstych krzakach.

Otworzyły się drzwi w sieni i do kuchni wszedł uśmiechnięty niemiecki podoficer.

– Guten Abend. Dobry wieczór – dodał po polsku z silnym niemieckim akcentem. – O, interesanci, pardon, służba. – Bez pukania wszedł do dowódcy.

– To na razie wszystko, proszę tu podpisać – powiedział Niemiec spisujący zeznanie dziewczyny.

Krystyna wyszła z pokoju, zmierzwiłone blond włosy okalały jej twarz. Spojrzała smutnymi, błękitnymi oczyma na Staszka, podeszła do niego i uściśliła jego dłonie.

Niemcy rozmawiali w swoim języku. Staszek zaczął wsłuchiwać się w słowa. Znał ten język, babka ze strony matki uczyła go w dzieciństwie.

– A gdzie tak długo podziewał się mój Feldwebel?

– Kochany panie dowódco, w komendanturze kazali mi stawić się na Gestapo.

– Co?! I czego chcieli?

– Naczekałem się, bo ci leserzy nie mieli dla mnie czasu. Wreszcie nie wytrzymałem i opieprzyłem towarzystwo, no to mi pismo dali do pana.

– Dawaj! – Przez chwilę w pokoju panowało milczenie. – Co?! W dupę niech się pocałują.

– Czego oni chcą? – odezwał się trzeci głos.

– Zalecają penetrację wioski pod względem posiadanej broni przez Polaków i ewentualnego ukrywania Żydów. W pierwszym wypadku życzą sobie, abym przesłał winnych do nich, w drugim mam reagować zgodnie z poleceniem Reichskomisarza Ukrainy Ericha Kocha nakazującym likwidację Żydów i całej rodziny gospodarzy, która ich ukrywała, konfiskatę majątku i spalenie dobytku.

– Może Gestapo spalmy – powiedział ten trzeci.

– Bunsche, takich rzeczy nawet nie myśl za głośno. Słuchajcie, starczy mi, że nasze dowództwo życzyło sobie, aby sprawdzić, czy miejscowi nie kontaktują się z bolszewickimi bandami.

– Jeśli nawet to robią, to tak, żeby nikt się nie zorientował – powiedział Feldwebel.

– Chciałem, żebyśmy mogli w spokoju spędzić te święta. W ciepłym, przytulnym domu, przy zastawionym stole. Więc w dupie mam tę całą politykę. Ile czasu zajmie odbudowa kompanii?

– Potem zaraz wrócimy na front – znów wtrącił Bunsche.

– Zobaczcie – kontynuował oficer. – Oto ugościli nas ludzie podbitego kraju, sympatyczni i otwarci. Ja zdaję sobie sprawę, że nie uważają nas za sojuszników, ale żeby pozwolić na takie mordowanie... Czas spełnić chrześcijański obowiązek. Zbadamy sprawę tego mordu i sprawimy tym ludziom pochówek. Bunsche, poślij do Sarn po księdza, niech jutro po południu przybędzie do tych Brzozowych Ostów. Trzeba też sprowadzić policję, ale z Gestapo nie chcę mieć do czynienia. Wezwij kogoś z posterunku w Antonówce.

– Tak jest – odezwał się Bunsche.

Drzwi się otworzyły i z pokoju wyszedł dość wysoki, przystojny brunet. Uśmiechnął się do dziewcząt siedzących za stołem, omiół wzrokiem Staszka i sprężystym krokiem opuścił dom.

– Następny niech wchodzi – zabrzmiał po polsku jeszcze inny głos zza uchylonych drzwi.

Anka Sawicka weszła do środka. Przedstawiła się i wytłumaczyła nieobecność reszty swej rodziny bardzo złym samopoczuciem matki. Powiedziała, że ich dom znajdował się pomiędzy zagrodami Szachniewiczów i Felińskich. Wrócili właśnie całą piątką od Felińskich, gdzie zasiedzieli się przy śpiewaniu pieśni religijnych. Pod domem spostrzegli, że dzieje się coś niedobrego, więc ojciec kazał im ukryć się w dobrze zamaskowanym schronie. Sam pobiegł po dziadka,

ale niebawem wrócił bez niego. Chwilę po tym, jak zamknął wejście, dookoła zrobiło się gwarno, zewsząd dolatywały do ich uszu urywki rozmów prowadzonych po ukraińsku.

– I jak długo tam siedzieliście? – dopytywał oficer.

– Przed południem opuściliśmy schron. Cała nasza osada, poza domem Morowskich, była zniszczona. A schwytyanych mieszkańców bandyci spalili żywcem u Felińskich. Ja nie przyglądałam się za dokładnie, bo rodzice kazali zająć się młodszym rodzeństwem.

– Dobrze, jutro będę chciał porozmawiać z twoim ojcem. To wszystko.

– Następny! – powiedział głośno pisarz.

Stanisław wszedł do środka, przedstawił się i opisał swoje przeżycia. Poinformował, że rozpoznał przynajmniej trzech Ukraińców z Perekopek.

– A mordercą mojej siostrzenicy był osobnik w mundurze policjanta.

– Tak – wtrącił Oberleutnant, człowiek blisko czterdziestki o siwiejących skroniach. – Jak tylko zrobiło się ciepło, zbiegło do lasu wielu ukraińskich policjantów. – Spojrzał przez ramię w kierunku wracającego Bunschego, kontynuując po niemiecku: – Najpierw pod rozkazami SS wymordowali dziesiątki tysięcy tutejszych Żydów, a teraz już sami zabrali się do jatek. – Skierował głowę w stronę Staszka. – Świadkowie twierdzą, że w pańskim domu doszło do eksplozji. Jak to się stało?

– Leżałem pobity na podłodze, wyplątując się z więzów, wtedy jeden z nich podszedł do mnie. Zobaczyłem granat u jego pasa, zerwałem zawleczkę i pchnąłem go na pozostałych, a sam wyskoczyłem przez okno.

– Czy z ukrycia obserwował pan, co działo się w kolonii?

– Nie, Ukraińcy ścigali mnie i zapędziłem się daleko w błota. Tam przeczekałem do rana. Wróciłem do domu koło południa. Nasza zagroda stała, jakby się nic nie stało. W domu zastałem nieład, wziąłem parę rzeczy i wyszedłem.

– Czy coś zwróciło pańską uwagę?

Stanisław po chwili namysłu powiedział:

– Cisza... Wejścia do obory, chlewu, stajni były otwarte na oścież i nie było zwierząt, wszystkie zabrali. Poszedłem do sąsiadów, a resztę już pan zna.

– Rozumiem, że rozpozna pan tych trzech – stwierdził Kluger. – Proszę podać ich nazwiska do protokołu.

Oberleutnant odwrócił głowę do Bunschego i pisarza.

– Zanotować i niech świadek podpisze.

Po zdaniu relacji Staszek poszedł do starszego brata swego szwagra, Władysława Dąbrowskiego, który mieszkał w Konstantynówce z żoną Jadwigą i czwórką dzieci. Wchodząc, zobaczył najmłodsze potomstwo gospodarzy bawiące się drewnianymi konikami. Jadźka, smukła blondynka w kwiecie wieku, stała przy kredensie. Władek, szatyn o okrągłej twarzy, z której zawsze wyzierał spokój, siedział za stołem. Wyraźnie ulżyło im na widok Stacha.